

WŁADYSŁAW ORKAN

---

# Płanety

WŁADYSŁAW ORKAN

PŁANETY

# Płanety

I

Niema to, jak chłopu na wsi! Ten ma już raz święte życie. Żeby ino Bóg nagodził ziarna i ziemniaków, to się o nic nie potrzebuje wieldze troszczyć. Wszyscy mają starunek o niego. Ksiądz go radosnie na tym świecie wita, jeszcze ochotniej chowa, zaś przez cały krótki żywot ma pieczę o jego duszę, jako o najmilszej ze stada owieczce, która za życia daje wełnę miękką, a serdak biały po śmierci. Żyd przemyśluje o jego majątku: gdy ma za dużo — ujmie mu ciężaru z głowy, a gdy za mało — dopożyczy i o hipotece się zawie przy czasie, wszystko rozumem swoim wyprostuje. A i panowie z urzędu radzi go widzą. Z podatkiem nie zawdy musi się trudzić dwie mile; przyślą na miejsce swoich ludzi, i wezmą bądźco, nie sam pieniądz. Wszyscy dla niego dobrodzieje, każdy za niego o nim myśli, aby se ino nie psuł głowy próżną turbacją.

Ale już najwięcej starunku o chłopą mają podczas wyborów. Wtedy cały kraj o nim radzi. Gdzie się obrócić, wszędy ino o „naszym chłopie” gwara, jakby każdy po to tylko żył, by chłopu dobra przysporzyć. Schodzą się mniejsi i więksi panowie, ba, nawet tacy, co wsi nie widzieli, i przedumują w głowach swoich, jakby tu chłopu dospomódz. Zeby się dało raj z zapieckiem stworzyć, gdzieby mógł drzemać śleobodnie przy czasie, toby ochotnem sercem uczynili. Tymczasem czynią, co w ich mocy. Zeby se chłop nie potrzebował łamać głowy, kogo wybrać do sejmu, to mu przysyłają gotowego posła, kosztów przesyłki nie ściągając, jako że to „rzecz urzędowa”. I chłop ma spokój.

Niedawno zdarzyło mi się mówić z podletnim człkiem, który chodził po wsi wybierając na mszę na uproszenie pogody i słonka.

— Wszystko — powiada — byłoby dobrze, żeby w niebie inaczej gazdowali. Ale to tak: rozbłyśnie, drugi raz się zamgli i znowu leje. Nijakiego porządku nad światem. Każdy święty o swoim kraju myśli, a nami się żaden nie zaopiekuje szczerze.

— Zato na ziemi mamy opiekunów...

— Dyc chwała Bogu jest ich dość, nima co narzekać. Jak i z tymi wyborami. Przyszli, wybrali, ani człek nie wiedział o tem...

— Jakże to? — pytam się — przecie jesteście radnym...

— No dyc-ech jest... I nie jeden. Jest ich ta niemało. Ale nikt nie uwiadomił znikąd.

— I jakże wypadło?

— Ha no przyjechał konwisarz z dziandarem i oba z wójtem wybrali pisarza.

— To sprawiedliwie... myślicie?

— Ja nijak nie myślę.

— Prawda, są insi, niech se głowy łamią.

— A jakże... Telo wam ino powiem: że nie wiem, kto kiedyś wygra...

Spojrzał na mnie przebiegle oczyma chytremi i, chcąc zaraz osłonić myśl niedokończoną, począł:

— To prawda, że my nie do tego. Człek w ziemi zagrzebany, jak ten kret, po uszy. Boga prosi, żeby mu dał zebrać plon mizerny z pola. A co więc to nas ta już nie dużo obchodzi. W tem cała dba na zimę, co sie latem zbiera. A tego lata deszcz po deszczu, powódz za powodzią — takich naremnic nie pamiętają ludzie już oddawna. Różnie se naród myśli: co takiego, iż te burze i grady tak często przychodzą. Opowiadał mi kościelny, a jemu znowu — ksiądz, że pono jacyś heretycy armatę wynaleźli taką, coby z niej można

do chmur strzelać i rozpędzać grad, a te burze tegoroczne to — powiada — kara boska za tę ludzką pychę, choć mnie się ta nie chce wierzyć... Ha, no, kiepskie żniwa. Ja się też zebrał, myślę sobie: Trza uzbierać na mszę...

Mówił szybko, bez przerwy, nie myśląc o tem, co mówi. Oczyma błakał po górach rozrodzianych z lasu. Po chwili przestał i zwiesił głowę w zadumaniu ciężkiem.

— Tak ono tak... gdzie się ta woda ma utrzymać?

Spotkałem jego oczy — zczerwienił się i zwrócił je na bok.

— To, widzicie, jest dopiero jedna z przyczyn.

— Wiadome one i mnie trochę — odparł. — Darmo się wypierać. Ale to tak, mościwy. Człek nie wójtuje, to se myśli: niechta! Niech się trapią insi. I lepiej ująć, nie słyszeć, nie wiedzieć o niczem. Bo kiedy myślą za nas, to niech myślą, niechże się im здаje, że człek już nima czucia, ani dusze, że się już tak doznaku sponiewierał w tej ladacej służbie. Ale... do niczego dobrego to nie prowadzi. Jak i z tymi wyborami... potrzebne to na co? powiedzcie sami. Dyc się mogą pięknie ładnie bez tych komedji obejść. Naród sam to pokazuje, a nie chcą widzieć. Usuwa się i czeka, co to będzie dalej. Ani temu, ani temu korzyści, jak zawdy. A oni myślą, że ich góra. Śmiech mie ino bierze. Przypomina mi się zaraz przypowieść o wilku. Słyszeliście już kiedy?

— Nie.

— To wam opowiem, choć to przypowieść już stara. Było tak: pasł się baran nad urwiskiem w lesie. Przylatuje wilk ku niemu i: „zjem cie!” powiada groźnie. „O, co byś mie ta gryzł — odrzekł baran — kości, widzisz, mam twarde. Dyc ty ino stanij, obróć się do urwiska zadkiem, ozdziaw paszczekę, a ja ci sam wskoczę, i będzie prosty koniec”. Wilk, widzicie, usłuchał baraniej rady. Obrócił się i stanął i ozdziawił paszczę. A baran, jak się rozpędzi, jak buchnie w niego — to się ino wilk nogami nakrył, lecący prosto w przepaść. Wstaje potem, wywłóczy się, wylazł na brzeg — poziera w koło po ugorach, a tu barana ani słychu dychu. „Hm...” — myśli dumający — „czym go zjadł, czym go nie zjadł?”

— Przypowieść wcale trafna...

— Baran i tak głupi, że go nie zdurknął tak, coby już nie wstał...

— Ba, ale wtedy wilk by już nie myślał, a turbacja jego jest najlepsza.

— Ha, co kto woli...

Rozstał się ze mną wesoło i poszedł dalej zbierać na mszę. Kielo uzbierał, nie wiem, ale to wiem, że Pan Bóg dał pogodę niezadługo i mszy już nie było. Za to było nabożeństwo na uproszenie deszczu.

## II

Powszechnem jest mniemanie, że chłop jest religijny. Tak nauczają, więc musi być prawda. Ileż to piosnek, już w elementarzach, o kmiotku, który orze zagon swój ojczysty: skowronek śpiewa, słoneczko przygrzewa, a on się modli na roli...

Znam podobne obrazki, malowane w słońcu, ale... trochę ciemniejsze w kolorze.

Oto kobieta, nie pasterka, ba, sama gaździna, pasie krowy na miedzy w słonecznym rano. Śpiewa pieśni nabożne z ogromnym przejęciem, a krowy jedzą cudze zboże. Widzi to dobrze, bo się patrzy na nie, lecz, zamodlona, ani myśli odpędzić je od szkody.

Oto gazda podletni idzie na dół drogą wśród cichych, jasnych pól — ku kościołowi. Zdjął kapelusz idący i szepce pacierze, a słońce promieniami głaska go po siwych włosach. Wczoraj o zmroku ściał smreka z kumotrowym lesie, zwiózł go do tracza i zerznął nocą na deski, a dziś rano, jak zwyczajnie w niedzielę przy święcie, ogolił się i ubrał w przyodziew święteczną i teraz przed innymi idzie do kościoła, aby naprzód podziękować Bogu za błogosławieństwo w pracy i prosić o dalszą łaskę.

Oto znowu ów „kmiołek” wyjechał z pługiem na zagon. Przeżegnał się na początek i zarwał cudzą miedzę. Poczem się mu już gładko orze, uczciwie i składnie. Właśnie co dopiero odwalił na cały lemiesz sąsiadowi skibę i, stając, obejrzał się, czy ta kto nie idzie. Nie obaczywszy z nikąd nic, krzyknął na woły — na pogońcę swego, aby ruszał. Wdzięcznym sercem za sposobność o Bogu myślący, zbaczuje sobie, że w pośpiechu nie zmówił rano pacierza. Ciska wartko kapelusz i odmawia, a w przestankach klnie wołom razem i pogońcy.

I mnóstwo jeszcze podobnych obrazków przesuwają się mi przed oczami. Jeżeli się tak religijność objawia, to chłop jest religijny. Nawet wielce! Znam jednego człeka, który za najpobożniejszego uchodzi we wsi, a i słusznie. Ten kazania nie opuści, ani mszy, broń Boże. W kościele siaduje w ławce przy samym ołtarzu. Modli się wargami i oczami, całą postawą pochyloną. Książki pod pachą nosi grube, nawet po dwie naraz. Nie goli się z pobożności, aby nie myślano, że się chce komu z ludzi przypodobać. Ba, to wszystko jeszcze mało. Należy do „Trzeciego zakonu św. Franciszka”, sam jest zelatorem bractwa, nawet paru bractw, obrazy cudowne miewa skądś ze świata sprowadzane, na wszystkie odpusta chodzi, spowiada się często, niema święta, niedzieli, żeby do komunji św. nie przystąpił. No, słowem — taki katolik, o jakiego i w Rzymie nie łatwo.

Cóż, kiedy nienawiść ludzka i takich nie obejdzie. Kiedym raz, niestety, zeszedł się z podejrzanym o niedowiarstwo człekiem i jałem go nawracać słowy pełnymi gorąca i żarliwości wielkiej, pokazując mu, jako przykład, onego człowieka, który w łasce Pańskiej ustawicznie chadza, ten mi porywczo odrzekł:

— Panie! Dyc to największy we wsi złodziej. Takiego osiusta chyba świat drugiego nie zna. Co on ludzi naobdzierał, to ani wypędzić... Któż okradł kasę gminną, jak nie on? Przecie to wiadome. A lichwiarskich procentów kielo zebrał! Niech on się ta modli. Myśli, że pacierzami Boga udobrucha. Cóż mu i teraz z tego? Krzywda ludzką się pasie, a wiecznie je chudy. To okpiś! powiadam wam, to huncfot! nie gazda.

I długo jeszcze byłby pewnie pomstował na niego, gdybym był, ochraniając uszy swoje, nie odszedł zawczasu. Tak to złość ludzka nie daruje nawet wielkich oszustw. Choć po boku o nich mówi, we cztery oczy, nie tak głośno, jak zwykle o małych. Ów człek, chodzący z wieczną pobożnością w twarzy, witany jest wszędzie po wsi, szanowany w oczach. Zapewne też, widząc dla się szacunek wierzchni i posłuch, wydaje się sam sobie świętobliwym wielce.

Taką świętobliwością wielu opętanych. Są ludzie, którzy się chwają, że dwadzieścia i więcej razy byli w Częstochowie, a na Kalwarję świętą co rok idą, nie licząc mniejszych odpustów pobliskich. Chorują z rozżalenia, gdy ich co takiego zajdzie, że nie mogą iść. Oblęd wierutny ich ogarnia. Chyba nie dziedziczny. W bogate plony dojrzewa jezuicki siew.

W życiu codziennym chłopu mało o Bogu szczerego wspominku. Chyba w nieszczęściach, gdy się trafia, ale i to nie we wszystkich. Małe zwaluje się na ludzi i przypisuje winę bliźnim swoim, wielkie dopiero odnosi się Bogu i przyjmuje się w pokorze, jako doczesną karę za grzechy. Oto jeden z tysięcy przykładów:

Gaździnie, już niemłodej, zakulała kura. Ona też, niewiele myśląc, porywa ją i leci do sąsiedzkiej chałupy. Wpada do izby, zapieniona, i, ciskając kurę sąsiadce pod nogi, woła: „Nikt inszy, ino tyś ją okulała! to se ją zjedz”. I, nie słuchając tłumaczeń kumoszki, zdumionej taką napaścią, wypada w pole z krzykiem i klątwami i podnosi taki lament wielki, iż całe osiedle wyszło patrzeć, co się to takiego stało. Niezadługo potem zdarzyło się, że prawie na równej drodze krowa jej nogę złamała. Wtedy już nikogo nie napastnęła. Wzięła to poprostu za karę wyraźną za tamto, za dopust boży. Przyszła z płaczem do sąsiadki i do kolan jej upadła, prosząc o niepamięć krzywdy.

Ogółem stosunek chłopu do Boga jest bardzo prosty. „Ja Ci zmówię tyle a tyle pacierzy, a Ty mi dasz to, o co Cię proszę”.

Stąd przysłowia:

„Ta i Panu Bogu nie za darmo się pacierze mówi”.

„Wie święty Marcin, za co płaszczą udziela” i t p.

I w nadziei otrzymania zbawienia wiecznego chłop wypełnia obrzędy, jak się patrzy, chodzi we święto do kościoła, modli się, jak ma o co, i zazwyczaj jest w porządku ze swoim sumieniem. W dociekaniu duże się nie wdaje, bo to — powiada pismo — szatan przez dociekanie upadł. Więc też nie miewa wątpliwości w sercu. Choć się zdarzają...

Orał mi w jedną wiosnę człek już dość starawy. A miał pogońcę nie swojego, ba, drugiego z osiedla chłopu, który był znacznie odeń młodszym. W czasie przedpołudnia — było — siedzieliśmy na trawniku, konie owies gryzły. Chłopi też nieco ujedli i pozakurzali fajki. Mówimy o tem i o owem, co ma łączność z wiosną, z zasiewami, z oraniem, z uprawą. Nagle ów stary przerywa i, wyjmując fajczynę z ust, zwraca się do mnie:

- Miałbych się was o jedno spytać, ale nie wiem, czy wy mi powiecie...
  - No, cóż takiego?
  - Kiedy ja już wiem, że wy mi nie powiecie.
  - Przecie zapytać możecie.
  - Czy też jest to piekło, czy go niema?
  - Hm...
  - A nie mówilech, że mi nie powiecie! — rozśmiał się gorzko i nieswojo.
- Chwilę milczeliśmy wszyscy. Wreszcie pogońca, powstając, ozwał się:
- Ja tak uważuję, że każdy piekło swoje w sobie nosi.
  - Może i to być — szepnął stary. I zabrali się do orania.

### III

W jednej z górskich parafji wysypała się z rannej mszy przed kościół gromada ludzi. Idę między nich, a znajomi ściskają mi ręce i witają serdecznie.

- Cóż tu u was słycać? — pytam, odwzajemniając pozdrowienia.
  - Zawdy jedno, panie: bieda i bieda... Inszego nie usłyszycie.
  - Ona to — dorzucił drugi — pcha się drzwiami i oknami do chałupy, że się nieporada oгнаć...
  - Nie puszcząć! — mówię.
  - O, panie! Dyc się człek broní, jak może, ale ręce ustają i rozumu nie starczy... Zatkasz jedną dziurę, to się druga otworzy — i tak zawdy.
  - Hej! — potwierdziła gromada.
- Zasepienie w twarzach, w oczach turbacja. Czynią smutne wrażenie zegnanych na rzeź owiec.
- Jezusie drogi! zmiłuj się nademną... — jęczy kobieta jakaś sucha, jak szczypa, i wyciąga ręce do drzwi kościelnych.
  - To, wicie, komornica biedna, hań z Koninek — objaśnia stojący obok mnie gada. — Biedactwo miało ino zagon ze ziemniakami, nic więcy, i przyszły dziki te nocy zwyczajnie z lasu i przewróciły do imentu...
  - Bedzie ta kopać biedna! Mocny Boże... — litowały się kobiety, poprawiając na ramionach chustki.
  - Żeby też kto te dziki od nas wyprowadził — gwarzyli między sobą — toby sie mu gromada złożyła...
  - Dyc tu był raz jakiś wędrowny. On by je był wywiódł — objaśniał leśny — hale cóż, kie sie bał hrabiego na się ozgniewać.
  - To niech polują na nie, abo co! — rzuciła gniewnie jakaś gaździna. — Przyjdą zbiórki, to pilnuj noc po nocy, boby ci wszystko do znaku zjadły. Że też to na świecie nikoguteńko nima, coby się tem zajął!.. Dość nieurośnie, bo kany? to jeszcze dziki zepsują. Kielo bied na świecie, to sie wszystkie do nas zwaliły... Laboga! Cóż się to dzieje?
  - Moiściewy! — tłómaczy jej kumoszka z gorzkim uśmiechem. — Już to tak będzie... Darmo! My świata nie naprawimy...
  - Są ludzie, którzy myślą o jego naprawie — wmieszałem się.
  - Bóg im pomóż! — podniosły w górę oczy. — Ale, nim słońko zejdzie, rosa oczy wyje.
  - Lepiej zdać się ze wszystkim na Pana Boga i czekać końca... — ozwał się z przekonaniem Król, zwany także Munarchą.
  - Tak, tak — potwierdził przechodzący obok organista. — Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy...
  - Nadzieja w Bogu... w torbie ser! — szepnął za nim złośliwy „kumotr z nad miedze”.
  - Włóczy się psiamać ścierwo bieda sobacza... — klął pocichu zdecydowany pesymista od urodzenia i spluwał raz po razu.
- Z furtki kościelnej wyszedł ksiądz wikary. Lud cisnął mu się do rąk, całując ze wszystkich stron.
- Czemuż nie idziecie do domu? — spytał.
  - Dyc, jegomościu, nima po co, bo tam bieda...
  - A cóż tu wystoicie?

— Tak se ta pogwarzemy i poradzimy się...  
— Sami?  
— Jak nima kota, to i myszy rządzą... — zamruczał z przekąsem stary gazda.  
— Dyc pono mają dawać zapomogi... jegomościcku kochany! — woła płacliwie niska kobiecina.

Ksiądz się zatrzymał.

— To jeno biednym komornikom...  
— Dyc my wszyscy biedni, jegomościu! — zawołali.  
— Niema nic do gęby...  
— A na sobie nie urwiesz...  
— Hej!...

Ksiądz odszedł, a oni się rozgwarzyli nanowo, podzieleni na mniejsze i większe gromadki. Nie śpieszyło im się do domu. Po co? Wiedzieli, że to samo zawdy zastaną: płacz i zgrzyt... Tu przynajmniej ulżą sobie w pogwarce wspólnej, a widmo troski ciągłej na chwilę ich odejdzie.

Słońce potoczyło się wyżej. Kościelny ostatni opuścił kościół i pozamykał drzwi — a oni stali gromadami, rozgwarzeni, na przedkościelnym kamieńcu. Wreszcie, wygadawszy wszystko, co im ciążyło na sercach, a było tego niemało, poczęli się rozchodzić i tracić. Każdy wpadł po drodze na niedużą chwilę do sklepu, do Kółka, by zborgować mąki lub kaszy. Ale najwięcej ludu cisnęło się do Abrama, który handluje „kukurzycą”. Niejeden wysunie worek z za pazuchy, by nasuć weń jakiego ziarna, „bo też ta dzieciśka czekają... a przykrzy im się, przykrzy!...”

#### IV

Wyszedłem rankiem z chaty mej pod lasem i poczęłem schodzić na dół wązką ścieżyną wśród zieleniejącego się po ugorach owsa. Byłem już za potokiem, kiedy usłyszałem poza sobą suche, astmiczne chrząkanie, i równocześnie dobiegł uszu mych przytłumiony, chrapliwy głos:

— Zaczekajcie, panie, to się nam pódzie raźni...

Stałem. Niski, chuderlawy chłopina spuszczał się wolno z uboczy, koło rozsianych gęsto jałowców, podpierając się zakrzywionym kołtunem.

— Niech bedzie pochwalony! — zawołał już zbliska.

— Na wieki. Dusi was?

— A dusi, zawzięta psiamoc krzypota...

— I nogi was bolą?

— A bolą — odparł, dysząc ciężko. — Dusznota się na mnie zawzięna i dusi, a tu, wicie, i w nogi wlało. Bieda to, wicie, jak chyci człeka chorość na oba końce...

— Radźcie co?

— Coby! Nic nie radzę. Najlepsza rada byłaby, żebyś co zjadł tłustego. A tu nima, bo skąd? Je się tę kukurzycę i je z dnia na dzień... Trzeba cosi do tego. Bo, wicie, przy jednej spyrcie i kot zdechnie. Przyje się doznaku. A tu nimas nikany, znikąd, nic...

— Taka u was bieda?

— Bieda, biedka nasza kochana! — zaśmiał się smutno. — Idę ta ku kościołu. Mają pono dawać kukurzycę za darmo, to się może i mnie co dostanie.

Uśmiechał się wciąż. Spoglądałem nań, pełen przykrego zdziwienia.

— Mają dawać biednym, słyszałem, a wy macie grunt.

— Ho! panie! grunt!... Dyc mam te parę morgów, jako i każdy we wsi. Ale niech pan idzie po wsi i pyta, czy jest by jeden, co by powiedział: Mam co jutro do gęby włożyć...

Stałem przerażony, jakby nad urwiskiem.

— Tak, tak, panie, tak — śmiał się gorzko — nima-s takiego, nima... Z roku na rok grunta upadają... Nie dziwota! Widzi pan, jaki to owiesek? — pokazał ręką. — Kłują się ta zielone ździebelka z glinowarki, ale co na tem bedzie? Jedno ziarko. A i to w polu myszy zjedzą, albo i dzikie świnię. Nima-s co zbierać, nima...

Szliśmy chwilę w milczeniu.

— To widzi pan — począł — dziad we wsi bogatszy od gazdy, bo idzie od chałupy do chałupy i dadzą mu; jak nie tu, to tu... A gazda nie pójdzie, nie wyciągnie ręki, bo go wstydy... Ale...

— Djabli-ć po hunorze, jak pustki w kumorze — szepnął sobie, idąc za mną ścieżyną.

— Straszne! — odganiałem natrętne myśli.

— Co straszne! — podchwycił z cierpkim uśmiechem. — Bedzie jeszcze gorzy... Nadzieja boska... Bedzie! Kto na to poradzi?

A potem, jakby dla uspokojenia myśli, dodał:

— Nie za nas świat nastał, nie za nas się skończy...

I szliśmy ścieżyną wąską, jeden za drugim, mijając odosobnione smreki i stada rozsiadłych po pustych tłokach jałowców.

Męczyło chłopca milczenie, więc mię zagadnął:

— A cóż tam w świecie? Pono była podmucha na żydów...

— Eh, głupstwo — odrzekłem — wobec tego, co się tu dzieje!

— Panocku! Całe życie głupstwo i tyle...

— Bo tu pisały gazety — zaczął znów po chwili, — ale nie jednako pisały... Jedne podają, że na Turbaczu zeszło się tysiąc chłopstwa, a insze podały parę tysięcy... He, he... Dyc my tu bliżutko, a niceśmy nie wiedzieli o tem... Ino, wicie, baby szły z Nowego Targu bez wierchy i widziały hań dwóch chłopów, jak se odpoczywali siedzący przy drodze... Czyby one doniesły?... Babski strach, to wicie, ślepa ma niemałe. Dwoi i troi mu się w oczach wszystko... Ale ono ta cosi musiało być, bo i sądy zjechały z Widnia i żołnierzy dali na kwatery... Ono ta nie bez kozery!.. Przyszła, wicie, na żydków podmucha, jako ta zaraza na ziemniaki...

Nie odpowiadałem. Czarne myśli migotały mi przed oczyma. Szedłem wśród ugorów, gdzie dla owiec paszy zamało, a tu ludzie żyć muszą, przykuci na wieczność skalną koniecznością...

— Dziw, że im nic nie zrobili, bo to lud, wicie, zawzięty, zbiedzony i uciskany ze wsząd... — mówił, dysząc za mną. — A ze żydami, tobych pedział, jak ze wszami na łbie... Gryzą cię i gryzą, a ty się drapiesz i drapiesz... Boś niezaradny człeku, jak ostatni dziad. Ha no! Pilniejszy brzuch, niżli głowa, bo od niego rozum idzie...

Zakończył sentencją, uśmiechając się cierpko, i szedł za mną, utykając i dysząc pierśmi, jak miechem.

Przeszliśmy tak szeroki dział i schodziliśmy w osiedle, rozłożone czarnymi chałupami nad kościołem.

Wśród zabudowań spotkaliśmy małego chłopczykę. Szedł żwawo, prawie biegł pod górę, boso w brudnych płócienkach i obstrzępionej koszulinie. Kapeluszek trzymał w obu rękach.

— Ty co niesiesz, Jasiu? — spytał go chłop.

— Kukurzycę...

— W kapelusie ino?

— Wystarczy. Gazda mię posłał, bo dają za darmo. Ledwo-ch się dopchał. Zetrze się na śniadanie i zjemy. Ostańcie z Bogiem...

— Mizerota! Jak se to umie radzić!... — popatrzał za nim gazda.

— I to wszyscy tak biedzą? Wszyscy?

— Ho! ho! Zobaczycie, jaki będzie ścisk koło wozu... — śmiał się i dyszał chrapliwie.

Zeszliśmy na kamieniec przez wodę i stanęliśmy przed kościołem. Zdala doleciał mych uszu hałas jarmarczny.

Przed organistówką stał wóz drabiniasty; dokoła cisnęli się ludzie i pchali jedni przez drugich. Na wozie chłop jakiś wymachiwał rękami, z boku wójtowie hamowali pchający się naród. Tłum nie słuchał jednak tłumaczeń wójtowskich, lecz kłębił się i spychał, jakby zajadła, mrówcza czerń. Kto mocniejszy, dostał się prędzej do wozu ponad plecyma innych, brał, ile mógł, i wysuwał się z ciżby.

Kobiety, niedorostki i dziady stały na boku, czekając, aż im się co na ostatku dostanie.

Zniemiałem chwilę i stałem długo, zapatrzony w hałaśliwy tłum. Przed oczyma migwały mi twarze znajome „porządnych” gospodarzy, kilkumorgowych zagrodników.

— Dla Boga! Cóż się to dzieje? I ci tu przyszli żebrać?!

— A widzi pan!...

Obok mnie stanął mój towarzysz.

— Trza iść — szepnął — bo by mi się nic nie dostało...

I, dysząc, powlókł się powoli i wmieszał w tłum. Z hałasu wylatywały urywane zdania.

— Nie pchajcie się!

— Mnie przódy!

— Ty se możesz kupić!

— Edyc zryjcie, bogacze! Biednemu się nie dostanie...

I stał wrogo naprzeciw siebie cały ten nędzny tłum. Jeden drugiego żarł oczyma, a każdy wyciągał rękę po lichą zapomogę; gazda, komornik i najbiedniejszy dziad.

## V

Słońce spadło nad Babią Górę i toczyło się wielkim kołem ponad zimne doliny zachodu, kiedy wyszedłem na pierwszą polanę stromego zbocza Gorców.

Siadłem na trawie, przebiegając jednym spojrzeniem kilkunasto-milową przestrzeń. Wschód i południe zastąpiły mi góry, okrwawione zorzą zachodu, niby olbrzymie, rdzawe ogniwa, rozpalone w ogniu i powiązane w jeden łańcuch. Zato na zachód leci wzrok niepowstrzymany, opierając się aż o Beskid zachodni.

W kotlinach szarzeję wsie, bielą się kościoły, i Raba wije się kręto dolinami, wydzierając się na szerszą przestrzeń ku północy, za którą lecąc, dochodzi wzrok myślą do Wisły i podwawelskiego grodziska.

Tak niedawno, jak je opuściłem... a już tak dawno!

Siedziałem na polance, błędząc spojrzeniem po niezmierzonej mozaice zbóż, gdzie płaty zielone niedojrzałego owsa najdłużej zatrzymują oko.

Nagły szelest i trzask gąszi w przyłasku podemną wyrwały mię z zadumy. Z ciemnego gąszcza wyszły naprzd cisawe woły, a za nimi wysunął się osendziały chłop.

— Co was też tu pod wieczór przyniesło? — zagadnął, zbliżając się ku mnie, z prostodusznym uśmiechem.

— Wyszedłem popatrzeć na dół... Ładny widok! — wskazałem ręką.

— Ładny, bo ładny... ale tu jeszcze ładniejszy.

Pokazał na zbocza i westchnął cicho. Wyręby puste, z rzędami pniaków, zaczerwienionych od zorzy zachodniej, ciągnęły się daleko, otaczając nagą postacią strome ubocze gór...

Westchnęłem za nim. Pamiętam dobrze te lasy czarne, smrekowe. Małym chłopcem latałem tu na grzyby, wspinałem się po drzewach za cisawami wiewiórkami, lub wycze-kiwałem powracających z polan pasterzy. Znajomym był mi cały las na trzy mile wokoło. Jakie tu smreki były śmigłe! Kamieniem nie przecisnął. I to wszystko gdzieś poszło — za tak niedługi czas!...

— E, pójdziecie wyżej, hań ku wirchu? — spytał chłop.

Bez odpowiedzi, poszedłem z nim kamienistą drogą, zygzakiem wiodącą do szczytu.

— Były tu lasy, były!... — mówił chłop, zaganiając woły — piękne i hrube i wysokie... samiutkie smreki! Hale cóż?... Zachciało się hrabiemu (uściwszy was poćciwych) żydowskiego łajna i posprzedał doznaku. Zleciało się żydowstwo, jak mszyce, pozakładało parowe tartaki i chyciło sie z kraja. Tutejszy naród kłął pocichu i powiadał głośno: Niech tną, choćby do sądnego dnia... Bo lasy, wicie, były takie, żeby je bez trzy dni nie przeszedł. Ale oni światowców skądsi dognali, i ci dopiero poczęli trzebić bez pardonu, że ostało ino to, co hań widać...

Wskazał ręką na zbocze Obidowca, gdzie potracone buki zieleniły się jasno i sterczały gdzieniegdzie suchymi konarami stare, przegniłe jedle.

— Telo ino ostało... he Cisoń! — popędzał woły, zaśmigując biczem.

— Żal wam tych lasów?

— Ba! Komuby nie żal było?

Szliśmy powoli, bo kamienista droga podnosiła się coraz stromiej. Dokoła nas obsiadły stada zbutwiałych pniaków, wśród nich pięły się trawy różnorodną zielenią.

— Dyc zelżyjmy! — mówił chłop, przystając. — Wyjdziemy na dość czasu.



Usiedliśmy na pniakach przydrożnych. Woły, nie widząc za sobą poganiacza, zboczyły do wrębu i poczęły łakomie skubać zwaloną trawę. Oczy chłopca spoczęły na bydlętach z prawdziwą miłością.

— Niech se ta i one zawróżą, bo głodne — szepnął sobie.

— A wolno wam paść po wrębie?

Popatrzał na mnie, zdumiony, z pewnym niepokojem, chcąc odgadnąć, jaką myśl miałem w zapytaniu.

— Jak nikt nie widzi, to i nikt nie broni — odparł.

Kiwnąłem głową na znak, że nie widzę. Chłop dumał chwilę, przypatrywał mi się jakiś czas, wreszcie począł mówić:

— Bo wy nie wiecie, jaka tu drzewiej była gospodarka. Do lasu należeli wszyscy: tak pan, jak i my. Każdy brał la siebie, kielo chciał, ino sprzedawać nie było wolno. Ludzie wypasowali woły po lesie i brali za nie rocznie po trzysta papierków. Na wołach zarabiał ktoten, bo trawy było dość i nikt jej nie zazdrościł. Ludzie nie byli też łakomi na drzewo, bo go mieli podostatkiem. I nikt się nie pytał, czyje to? albo: do kogo to należy?... bo góry stoją od początku świata i lasy na nich rosły same, nikt ich nie wsiewał... Było tak zawdy i jeszcze za moje pamięci tak było. Jaże naraz gruchnęło po wsi, że hrabia lasy sprzedął. Z początku nie chcieli temu wierzyć; wreszcie, skoro się już dowiedzieli napewno, tak się gromady zawzięły, że padają: Nie puścimy hrabiego do lasa!... Z tego do tego, uwziątka rosła i nie dali dworskim dojeżdżać po siagi. Ani na biczysko hrabiemu sie nie patrzy z lasa — powiadali. Wtedy to, wicie, hrabia pościągł wójtów i kazał im sie popodpisować na sprzedaj. Juści sie podpisali, ino jeden wójt porębski nie chciał. A bez jednego podpisu ni mógł sprzedać. Toż to, wicie, hrabia napisał do cesarza i ten mu przysłał wojsko na pumoc. Ozkwaterowało się po wsi i padali, że nie pódzie, dopokąd wójt sie nie podpisze. Porębski uciekł. Doszli go żołnierze na Turbaczu i zastrzelili. Wtedy to, wicie, dopiero hrabia przedał las, porobił kopce i poodznaczał, po kielu jego, a po kielu gminne. Dostało sie i gminom po szczypcie lasu, ale cóż z tego, kie one mają walór do całkowite spółki... Bo wicie, i polany poszły do podziału: jedne hrabiemu, drugie chłopom.

Przestał i począł szukać fajki w zanadrzu. Pochylony, słuchałem w milczeniu sto razy słyszanej historii.

— Tak wicie — kończył, nakładając fajkę — drzewiej było paszy dość i mógłś przychować na bydłciu: a dziś mało który gazda posiada woły, bo nima ka paść. Na ugorach ledwo owca zdole co uskuść. Myleli-my, że jak lasy wytną, to będziemy paść na wrębach. A tu, wicie, postanowili leśnych i nie puszczają nawet na jagody. Była zajadka wielga od chłopstwa, jak i w sterdziestym szóstym za moje pamięci — ale cóż?... Dwory stoją, jak stały, a u nas bieda coraz większa...

Pykał drobno z fajeczki, spluwał przed siebie i patrzył na mnie prostodusznie. Siedzieliśmy w milczeniu. Wiatr szuścił dokoła nas wysoką gibrzyną i kołysał z szelestem rozłożyste maliniaki. Woły pasły się wrębem ponad drogą.

— E, trza iść — ozwał się chłop — boby jeszcze kto nadszedł niechęcący.

Wytrząpiał fajczkę o pniak, schował do zanadrza i ruszył za wołami, zaganiając je ku drodze.

Żał wam duże trawy, żal... — mówił do nich serdecznie. — Dobrze, żeście choć telo urwały... To sie zmarni — wskazał biczyskiem — zeprzeje i zeschnie, a nie dadzą wypaść...

— Za to smreczki podrosną — zauważyłem.

— Kto ta dożyje! Ja, bo nie... he Cisoń, he!

Zbliżamy się do szczytu.

— Za przykładem panów idą chłopcy — tłómaczył mi gazda — co ino kto ma, to ścina, niszczy i sprzedaje... Ale też i nie dziwota, bo bieda szelma dogania... Trudno zdychać z głodu. Nima sie czego chycić na przednówku, to chytają sie lasu. Niejeden zetnie smreka, zawiezie na miejsce żydowi, to go jeszcze musi pieknie prosić, po rękach całować, coby raczył kupić. Żyd sie, wicie, ogania i droży, aże kupi za telo, za kielo sam zechce. Wnetki przehandlują i chłopcy swoje laski; wnetki nie ostanie na budulec, ani na opał. Zaczkać ino rok, dwa...

Stanęliśmy na szczycie. Z polany okrągłej, widnej, odsłonił się wspaniały widok na ogołcone z lasu Gorce.

Te wręby calutkie — objaśnił mię chłop — od Lubomierza jaże do Olszówki, to posiadłości hrabiego z Przysłopia... Hań, te góry nagie, co stoją przed nami, to hrabiego z Kamienice; a te pustacie na lewo, to pana mszańskiego... Ładne posiadłości! nima co rzec...

Kiwał głową z przekonaniem i wpędzał biczem woły do koszaru.

Czekałem na niego, patrząc na gołe, leżące pustką dokoła mnie góry...

— Ładne posiadłości! Nima co rzec...

## VI

Ostatnie odbłyski czerwonej zorzy padły na szczyt Turbacza. Towarzysz mój zawarł woły do koszaru i chodził po polanie ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Czego szukacie? — zawolałem.

— Patrzę, czy były dziki te nocy, bo pełno świeżych rywocin...

— I cóż?

— A były psie krwie!... O, tu... Pełniutko śladów...

Chodził, ruszał biczyskiem ziemię i psiakrwował po cichu. Po długiej wędrówce podszedł ku mnie smutny i usiadł na trawie.

— Co ja mam utrapienia z tą przekłętą gawiedzią — skarżył się — to ani wypędzić nie zdolę... Zjadły mi orkisz pod lasem, ziemniaki zryły paskudnie, że ugrześć nie porada. A teraz na polanę przyszły i sprzewracały do imentu. Człek ochraniał i nie pasł, bedzie — rzekę — szczypta siana a tu usiecze (za przeproszeniem was poćciwych) świński obchód. Cóż mnie też nadało, aj, co, na te czasy... Jezus kochany!

— Polujcie...

— Kie nie wolno. Nie wiecie to, że hrabia ła siebie dziki chowa?

Mrok zapadał coraz czarniejszy. Z polan pasterze zganiłi woły do koszarów. Wyręby majaczyły w dole jak żydowskie cmentarze. Siedzieliśmy długi czas w cichem zasępieniu. Z roztoki pełzały ku nam zwolna mroczne cienie.

— Ale zanocujecie w kolebie, bo każbyście szli? — rzekł chłop, powstając.

— Zanocuję.

— To trza przystroić drew na ogień.

Ruszyłem za nim ku kolebie, na drugi koniec polany. Niezadługo nazwłóczył z przyłasku suchych gałęzi i pniaków i zapalił w kolebie ognisko. Usiedliśmy na progu szatry. Za plecyma trzaskały palące się gałęzie, przed nami noc spokojna i mroczne w dali szczyty. Zimny podmuch przywiewał ku nam urywany szum roztoki leśnej, to jakieś szepty i głosy niezrozumiałe. Na Obidowcu zajaśniało duże ognisko.

— Kto hań to pali?

— Porębianie — odrzekł chłop z namysłem. — Napewno oni... Tak, tak... Pamiętacie wy? E, pewnie, że nie pamiętacie, bo to już kiel roków...

— Co takiego?

— Te ognie po górach... Za moje pamięci, drzewiej, palili wszędy po wierchach smolne słupy...

— Na co?

— Bo padali, że panowie pódą od Babie Góry i będą wszystkich rznąc z kraja... Naród się strachał i krył po lasach i wtedy to, wicie, dawali na znak jedni drugim ogniste wici... Hej! Były to czasy, były...

— Cicho-no, ktosi śpiewa...

— E, dyć!

Skoro wiatr nieco ucichnął, doleciały nas wyraźne słowa:

„Polana, polana  
Bogatego pana —  
Polanę skosili,  
Pana obwiesili...”

Chłop spojrział na mnie ciekawie.

— To, wicie, taka zwyczajna śpiewka... Nikt jej nie układa, ba, sama się rodzi, jako ten wiatr co duje po lesie...

— Zwyczajna śpiewka! Ktoby pedział...

— Pasterze se śpiewają... Słyszycie-ino!

„Panowie, panowie  
Bedzicie panami —  
Ale nie bedzicie  
Przewodząc nad nami...”

Echo grało i niosło w nieskończoną dal przejętą nutę, połączoną z szelestem bukowych liści.

— Dyc to prawda, choć to i śpiewka... — podumał chłop — Co powiecie?... Do krzty zabaczyłeś! — zerwał się na nogi. — Trza wsuć ziemniaki, bo ogień zagaśnie...

Niezadługo siedzieliśmy w kolebie na żerdzi, wyciągając z watry opalone ziemniaki i jedząc smacznie ze sobą.

Po wieczery ułożyliśmy się na sianie, przyniesionem z kopy, i pookrywali płaszczami grzeszne ciała. Sen jednak nie przychodził. Myśli każdemu leciały przez głowę, jak w opętaniu.

— Nie porada usnąć! — dźwignął głowę mój sąsiad.

— Nie porada.

— Mówmy co!

— Mówcie.

Podumał chwilę, wreszcie zaczął:

— Jak niebożyczka matka umarła, to już temu będzie... Kiełoż będzie?... Chyba trzydzieści pięć lat... A jak ja się ożenił, to będzie... Kiełoż będzie?... Może trzydzieści pięć lat, abo i więcej... To, wicie, bez cały ten czas nima ani jednego dnia, cobych se pedział: Chwałaż Ci Panie Boże!... Ino ciągiem idą fale na człeka, jedna za drugą, bez ustanku, jak nie to, to — to, a zawdy musi coś gryźć...

— Każdy ma swojego gryzia... — rzekłem, patrząc w dopalającą się głownię.

— Najwięcej kłopotu, toch miał z babą... Bo to chore było od czasu i do niczego... Haw się obertniesz, to ona już stęka. Co ja z nią przeszedł, moiściewy, to by na wołowy skórze nie spał. Do dziesiednia takie mam utrapienie. Ciągłe mi poza uszy tyrcy i suści, a sama swija się koło pieca. Jużech se nieraz pedział: Czy mnie Pan Bóg litościwy pokarał, czy co?... No, ale cóż mizerny człeku poradzisz przeciwko wyrokom boskim? Jaki kij wzięłeś — takim się podpieraj...

— Nie inaczej! — potwierdziłem z szacunku dla „niezmierzonych wyroków boskich”.

— Nie dość jedne biedy — ciągnął chłop — to druga się przymitwiła... Prawował ci mnie brat siostra o swoją część... Wybrali przedtem, za życia niebożyczki, co ino żywnie chcieli, a potem padają, że im się wypłat patrzy... Ja też padam: Kie się wam patrzy, to się prawujmy! Juści ciągiem się to prawo i ciągiem cosi bez dziesięć lat... Co przyszedł wyrok na mnie, to go rekuresem zwalili — i tak zawdy. Jaze przecie naostatku oni przepchali i nakładli mi telo kosztów, coch musiał znowu bez dziesięć lat spłacać. Co ja biedy podżył bez cały ten czas, to ani, ani wypedzić nie zdolę. Takie to życie nasze kochane!... Że człek se nieraz powie: Lepiej być parobkiem u ostatniego gazdy, niżeli pierwszym gazdą we wsi... Bo parobek, jak zrobi swoją robotę, to się już o nic nie tróbuje i może spać ślebodnie — a gazda musi se łamać głowę i we dnie i w nocy, skąd wzięść na to, abo na to... Skoro mi Paniezus nagodził dzieci...

— Ileż ich macie? — spytałem senny. Głownia już dogasała. Powieki zesunęły się same.

— Wielu ich mam? Pytacie się... Dyc my tu wnetki porachujemy... Najstarszy Józek z drugim Wawrzkiem pojechali do Pesztu. Ale ta jeszcze nic nie nadesłali. Żeby się choć odżywić mogli!... To dwóch. Oprócz nich jest kieloro w chałupie. Jaśkowi już będzie chyba szesnaście lat, obo kto wie? Gładki chłopak i do rzeczy. Zośka już zastąpi matkę w czym tem. Szymuś już da rady paść... No, a te drobne... Poczkać... Kiełoż ich jest?... Kasia... Rejcia... Jędrus...

Reszty imion nie dosłyszałem. Odurzyło mnie wilgotne siano i zmorzył ciężki sen.

## VII

Rano było duże i słońce stanęło już nad Pieninami, kiedy począłem schodzić wrębem do roztoki. Cierniste łożony i maliniaki tamowały mi drogę; suche, wysokie trawka oplątywały nogi. Rozsuwałem je rękoma, płynąc falisto, jak lis po stepowych burzanach.

Z pod nóg czasem wymknie się chruściel i, jak mysz, cicho po trawie zaszeleści, to przebudzona sarna wyskoczy z gibrzyny, spojrzy lękliwie dookoła i w paru wysokich susach niknie mi z przed oczu.

Długo tak szedłem, ścinając w pędzie leśne kwiaty i otrząsając z łodyg przejrzałe maliny. Wreszcie trafiłem na ścieżkę, wydeptaną przez dziki i stratowaną racicami tak, jakby tędy przegnał conajmniej sto par wołów. Codzień wschodem i po zachodzie słońca można było je tu napotkać, jak idą na żer do wsi i wracają — jeden za drugim...

Pomknąłem szybciej i niezadługo stanąłem na drodze kamienistej, wiodącej spadzisto na dół równoległe z szumiącą roztoką.

Idą wolniej, zrywałem maliny wiszące nade drogą. Wtem usłyszałem z bliska szczekanie psa i równocześnie słowa:

— Burek! pódź tu! Rozumiesz?

Mała psina przybiegła do mnie, zaskomliła radośnie i jednym susem wyprzedziła mnie o kilkanaście kroków, kładąc się pieszczotliwie u nóg swojego pana.

Ów „pan” siedział obok jezdnej drogi na wilgotnym trawniku i patrzył uparcie pod nogi.

Za zbliżeniem dojrzałem niewielkie źródło, które przykuwało jego oczy. Podniósł je na mnie, skorom stanął przed nim — i ujrzałem dwie maleńkie zielonawe iskiereki w zaszuszonej twarzy, umieszczone w zagłębieniach pod brązowym, świecącym czołem.

— Z daleka? — spytał.

— Z wichrów...

— Siądźcie.

Zapraszał mnie uprzejmie, jak w swoim domu, wskazując ręką zielony trawnik. Spocząłem bez wahania. Psina podsunęła się ku mnie z ucieszonym skomleniem.

— Pies, wicie, przeźry człeka odrazu — mówił wpijając we mnie przenikliwe oczka. — Dobremu rad, złego przesładuje. U ludzi nie tak.

— Nie wierzą se?

— A nie wierzą...

— Gdzieżeście się zabrali? — spytałem.

Namyślał się, co ma odpowiedzieć.

— O dyć, nika — mruknął po chwili. — tak se ta posiedzę, pomedytuję... Robić nima co...

— Z czegoż żyjecie?

Spojrzał na mnie zdziwiony.

— Z tego, co świat nagodzi... — szepnęła. — Dy dźwierzyna żyje po lasach, a wyżyje... Nie trapię się, bo niman o co.

— Gruntu nie macie?

— Co mi po nim. Telo z nim, co i bez niego...

— I jakże to?...

— A nijak!

Patrzywałem nań zdumiony. Świdrował mię oczkami, mrugając nerwowo. W kąciach zaciętych warg czał się rozumny uśmiech, zrodzony z cichej rezygnacji.

— Na wiesną jagody są i borówki — tłómaczył mi zwolna — latem zaś maliny, a pod jesień czernice i bukiew. To sie ta człek ożenie biedzie... Ino zima gorsza. Pokiela były kwiczole, to sie jadło...

— Teraz niema?

— Nie przylatują. Nie widać ich już bez trzy zimy.

— I tak żyjecie...

— A żyję, pokiela ino zdolę jeść, abo pokiela co najdę... Niektórym to sie ta i cnie takie życie. Jak i prefesorowi z Lubomierza...

— Cóż to za jeden?

— Dyc profesór, taki wicie, co to dzieciśka uczy...

— Ehem!

— On ta przyszedł do wsi, jak zwyczajnie biedny starowina. Juści gmina przyjęła go. Bedzie ta — pada — dzieciśka w zimie poduczał i niech sie chowa do wóle Boskie...

— I chowa się?

— Dyc chowa. Bez zimę, pokiela uczy, żywią go, wicie, z koleje, z każdego numeru. Co im ostanie od jedzenia, to mu w garczkach donoszą, i żywi sie ta. W lecie zaś nikt o niego nie dba, bo dzieciśka pasą, nie trza go.

— Płacy nie dostaje?

— Skąd, kie go nie trza... Żyje ta jagodami czem zdole; grzybów uzbiera w lesie, bukwi, mrówek... Ale se krzywdzi. Zeszliśmy sie we wrębie, to opowiadał, że bieda na niego...

— No, wierzę!

— Ale biedy takiej nima, nie wierzcie. Ino to wicie, nie wezwyczajone, to sie mu ta i cnie... Schodził on kawał swiatu — dodał po chwili — za morzem był i wszędy. Padają, że siedmioma językami gada, ale ja temu nie wierzę.

— I tu trafił na swoje nieszczęście...

— Ja medytuję — przerwał — że nieszczęściów nima, ani szczęściów...

— Ino?

— Ino są jakiesi planety: złe i dobre. Ale złych jest więcy... musi być więcy...

— Czemu?

— Bo sie ludziska skarżą, a to niedobry znak...

Przysunął się ku mnie i gorączkowo począł mówić. Oczka mu błyszcząły, jak dwie na słońcu krople.

— Trojaki są złe planety, trojaki... Jedne chodzą po niebie, drugie ziemią, a trzecie po ludziach... Te najgorsze, co po ludziach chodzą... Wierzcie mi!

— E, bajecie...

— Ja wam baję? — zastrząsł się nerwowo. — Popatrzcie się! — wskazał źródło, bijące w górę. — Ta woda była drzewiej hań w górze, nade drogą i płynęła z boku. Teraz zesła tu na dół, ka widzicie, i bije prościutko do góry... Wiecie, czemu tu zesła? wiecie?

— No?

— Bo przysła na nią planeta... Śmiejcie sie, a ja wam gadam, że tak.

Nastało milczenie. On z miłością oczka nieduże utkwil w wodzie, a potem kiwał głową, jakby jej żałował.

— Musiało się jej cosi stać, musiało... — poszepnął z cicha. — Abo kto napluł jej w oczy, abo co, że sie ozgniewała i uciekla na dół... Wierzcie mi — dodał głośno — że i woda ma takie samo czucie, jak człek, abo i drzewo. Okaliczcie smreka, to zapłacze na was śluzami smolnemi, abo uschnie do znaku...

— Ależ to co innego!

— To samo, panie, to samo...

— Ta wasza planeta... hm... jakaż ona jest?

— Moja planeta... moja planeta! — powtórzył, a oczy mgłą mu zasły. — Jaka ona jest?... Żeby ja to mógł wiedzieć! Nikt z nas nie wie, czy zła, czy dobra... Nikt nie wie.

Nie zrozumiał widać pytania. Milczałem jednak, szanując jego oryginalny światopogląd, i przypatrywałem się mu, gdy pochylił głowę, zamyślony, a oczka małe utopił w bijącym źródle.

— Często tu bywacie? — spytałem.

— Prawie codzień. Ciągnie mnie, wicie, to źródło...

Gdy podniósł głowę, dostrzegłem nagle dziwne podobieństwo jego oczu z bańkami świetlnymi, tworzącymi się na bijącym źródle.

— Ale, ale! Napijcie sie te wody — prosił — nimam co inszego... Śmiejcie sie — dodał poważniej — a ja wam pedam, że ta woda ma dwojaki dobro: Jak kto pojedzony, to budzi apetyt... jak kto głodny, to sie mu jeść odniechce. Tego pierwszego toh jeszcze nie próbował; drugi zato próbuję codzień...

— To wasza planeta...

— Nie tu ona siedzi — zamruczał. — Nie tu!... Ka ja pódę, tam ona ze mną. Pódź Burek, pódź... Ostańcie zdrowi.

Powlókl się w górę do wrębu... Pies niecierpliwy wyprzedził go i wpadł w wysoką trawę, szukać jakiego pożywienia.

A ja długo siedziałem przy źródle, medytując nad „planetami” tych ludzi...

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-planety/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Doc Searls@Flickr, CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.